

Międzynarodowy Dzień Teatru Pod różnymi maskami

*Teatr, który był, jest i będzie
We wszystkich epokach.
Pod różnymi maskami.*

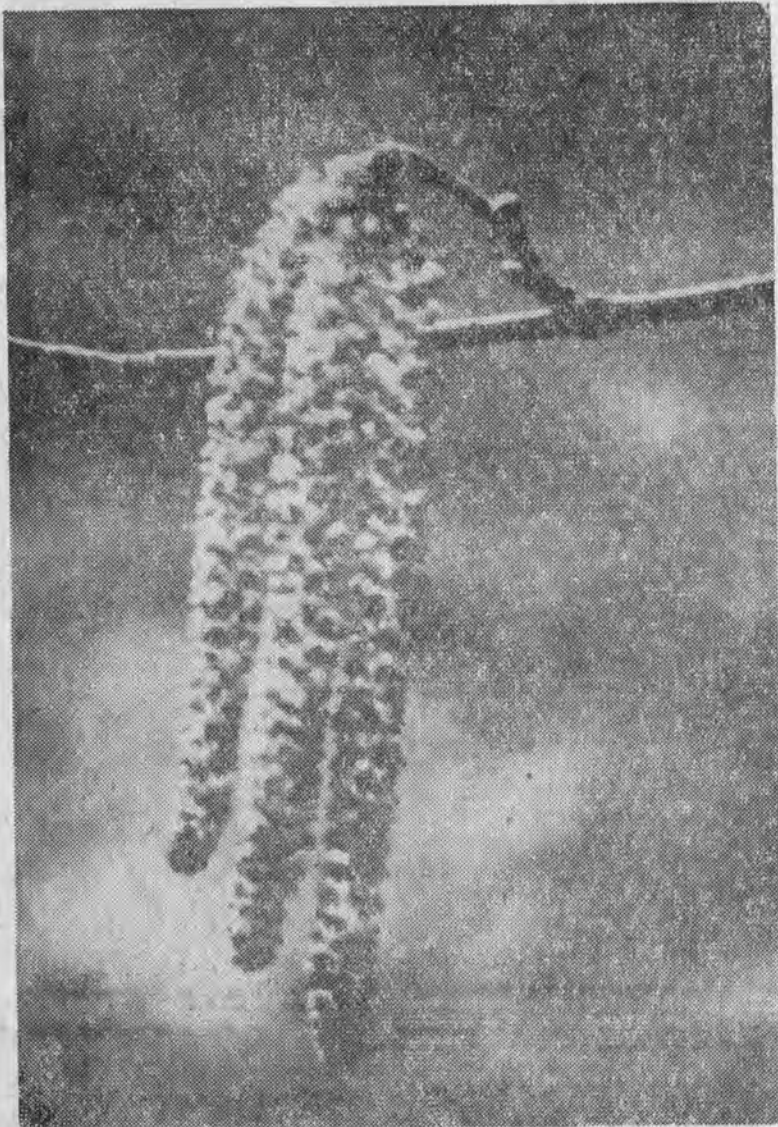
Przed wszystkim dla zakochanych jest to miejsce. Wehodzi w dramaty porażeni ich pięknem, zniewoleni bohaterem, ulegli jego racjom. Często w długie godziny potem budzi się zbuntowanie, ale nie jest ono formą protestu na piękno, lecz próbą dyskusji z racjami. Otrząsamy się wtedy z zaczarowań, które ułatwia brak mągów — komediantów i pierwsze wzruszenie serca mozolnie zamieniamy na doznanie intelektualne. Zachodzi proces prawidłowego niszczenia uroków na rzecz inteligencji: proces przez mnie nielubiany, choć uprawiany, bo rozumny. I w nim dopatruję się pierwszej najważniejszej siły teatru.

Spór o uporządkowanie świata wiódł z widowia już teatr starożytny. Wiedzie go i dziś. Zmieniają się manery inscenizacyjne, odchodzą artyści teatru, zostawiając po sobie eksperymenty niepokojące, idea artystycznego sporu pozostaje i ciągle obraca się w kręgu spraw moralnych i estetycznych. Bo nie ma jednego teatru, jak to powiedział Leon Schiller — istnieje ich tyle, ile genialnych koncepcji przewinęło się po jego scenach, ile konfliktów zawierają epoki, którym towarzyszyły.

W swoich poszukiwaniach idealnego wyrazu, słowa powszechnie zrozumiałego, posługiwał się najdoskonalszym instrumentem, jakim jest człowiek: przyełagał dramaturgów, objawiał wieczne i trudne nowości światu aktorów. Procesował się o własną wartość w historii wszelkiego poznania. I był samorodny: nawet pigmeje i ludożerocy stwarzają jego prymitywne formy; nawet smutne średniowiecze dopuściło do głosu taki przejaw rozpuszty estetycznej, usprawiedliwiającej treść misteriołów jego poczesne miejsce.

To teatr podjął się roli interpretowania trudnych, wieloznacznych arcydzieł, które rozszyfrowywały czas epoki, jaka je wydała, przydając im sens ponad ten czas wyrosły. Wszelkie bałamutne pozycje są dopuszczalne tylko dlatego, że wielka ambleja składa się z kłęski i zwycięstwa. Warunek — że uda się zachować kolejność tego porządku. Ponad niego może się wzniesić tylko sztuka aktorska: wszak Duse budowała arcydzieła swego kunsztu w sztukach d'Annunzia...

Przypominać ich wszystkich — genialnych indywidualistów, szalonych kuglarzy, sprzedających sztuce swój talent — dziś wykracza poza moje skromne możliwości. Są i zwyciężają. Wielkość obroniła ich przed zapomnieniem. Z tych największych, sama widziałam niewiele, zapamiętałam jednego. Przyjechał do Polski w blasku sławy, zostawił po sobie wzruszenie tym większe, że w kostiumie mussetowskiego Lorenzacia odszedł z teatru już w ogóle. A kiedy w patetycznym monologu o swej miłości do królowej, „Je suis jaloux”, klęcząc, oszalałym głosem, ów francuski Ruy Blas — Gerard Philippe — czynił wyznaczenie krakowskiemu teatrowi, ta zazdrość wstrząsająca likwidowała bariery językowe; zastawała tylko sztuką wspólna światu. Świat kornie ją przyjmuje i dorzuca każdy okruch intelektualnego przeżycia do wspólnej szkatuły ludzkich talentów. K. S.



Fot.: T. RYSZ

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

Przeciw stacji Chandra Unyńska

Działacz kulturalny prawdziwy, a więc taki, który rozumie popularyzatorski sens swojej pracy, jest postacią tak starą jak sama idea popularyzowania kultury oraz likwidacji jej niedostatków na terenach mocno zaniedbanych. Trochę inne pojęcie miał kiedyś termin terenów zaniedbanych kulturalnie — owej, jak mówi poeta, stacji Chandra Unyńska; inne znaczenie przywykliśmy dziś mu nadawać. W związku z tym, zasadniczym zmianom uległo pojęcie działacza i działalności kulturalnej. Nie warto przypominać spraw dobrze znanych i smutnej opieszałości, jaką napełniało się przy popularyzowaniu najprostszyc form oświatowych (bo myślę, że forma pracy kulturalnej u swego progu, była najpierw najczystszej klasy pracą oświatową), dziś przetarte ścieżki, opracowane wzory czy samo doświadczenie, z góry sugerują pewien model kultury masowej. Nie najdoskonalszy (ale gdzież w tym gąszczu spraw mówić o doskonałości!); za to komunikatywny, bez staroświecczości i bez pływających ideowych. Wystarczy tylko umiejętność rozumna, by móc wprowadzać go w życie i aktywne czekanie, a więc takie, które dalej polegać będzie na usuwaniu usterek, a nie wiecznym eksperymentowaniu. Bo za tym słowem zawsze kryje się odrobina szarlatanerii i niepewność, co z niego „wyjdzie”. Zresztą, wydaje mi się, dziś nie zachodzi konieczność wielkiego eksperymentu — wleczony w nieskończoność popsuje to, co w tej pracy dobre, celowe, co inne eksperymenty, kiedyś właściwe i potrzebne, wypracowały.

Do takich osiągnięć w sensie pomysłu zaliczyłabym nieliczne wprowadzanie, ale już w jakiś sposób rehabilitujące wszelkie nakłady na kulturę, międzyzakładowe czy międzyzwiązkowe kluby kulturalne. Powstały jako reakcja na rozproszone, źle działające świetlice przy-

zakładowe, tym samym likwidując wszelkie dublowanie pracy kulturalnej, jej złe formy organizacyjne oraz smutny zwyczaj kwitowania przez zakład pracy jego wydatków na kulturę paroma nieciekawymi odczytami czy akademiami.

Już sama nazwa klubu międzyzwiązkowego czy międzyzakładowego, bo bywają ich dwa rodzaje, zobowiązuje. Oczywiście jest, że ten rodzaj klubu ma rację bytu tylko w ośrodkach miejskich, gdzie skupia się kilka zakładów pracy, które można połączyć z ich programem kulturalnym oraz wypracować dla nich jeden typ czy model takiego klubu. Zresztą, w dalszym ciągu przeciw godzimy się z istnieniem świetlic, a nawet jesteśmy przekonani o ich potrzebie tam, gdzie są one jedynymi miejscami kulturalnego spędzenia czasu oraz wszędzie tam, gdzie ich rozsądni kierownicy wysondowali opinie odczucia i konsekwentnie realizują jego wymogi, jednocześnie próbując zaspokoić potrzeby.

Jakaż w końcu inną placówkę możemy dopuścić do głosu na wsi, w państwowych gospodarstwach rolnych? Dalej pozostaje świetlica, jako jedyny realny przybytek kultury, ale świetlica oddziałująca na całą wieś, nie mająca tendencji zamknięcia się do własnego kręgu osób. Jeśli natomiast jej kierownictwo przyjmuje taki separatystyczny punkt widzenia, podstawową koniecznością staje się zweeksławienie jej działalności na tory ogólniejsze. Tłumaczenie się w tym wypadku dotacjami finansowymi PGR dla wyłącznie jego pracowników jest nie tylko destrukcyjne, ale jest posunięciem demagogicznym wobec reszty mieszkańców wsi, wobec samej działalności kulturalnej. Bo gdzież tu wtedy miejsce na piękne sformułowanie kultury masowej, czy kultury jako wspólnego dobra, czy wreszcie kultury jako elementu kształtującego nową świadomość?

Dla mnie osobiście oznacza to zabieg wprowadzania sztucznego podziału na wysepki ludzi uprzywilejowanych, którym opłacono organizowanie wolnego czasu i tych, którzy temu dobroczynnemu prawu nie mają szans nigdy podlegać.

O wiele mniej tych tendencji niesie z sobą już sama idea klubu międzyzakładowego. Przewidziany jako siedlisko spraw kulturalnych dla kilku przedsiębiorstw, już w sa-

(Ciąg dalszy na str. 4)



Fot.: M. KOPC

JAN GRYGIEL

O klubach na wsi źle i dobrze

Na artykuły, polemiki i informacje o klubach „Ruchu” i klubach-kawiarniach GS-u zużyto w prasie strumienie farby drukarskiej. Pisano krytycznie, afirmatywnie i wyczekująco. Zajmowano stanowiska wobec... lub przestrzegano przed... To świadczy o roli, jaką te nowe placówki odgrywają, lub powinny odegrać w polityce kulturalnej na wsi.

Jesteśmy obecnie w fazie dyskusji o model i program tych placówek, a raczej o modele i programy, bo musi ich być wiele, w zależności od specyficznych cech środowisk, w których je otwarto.

* * *

Wiedzę o aktualnej sytuacji i działalności klubów w Rzeszowskim zdobywałem poprzez trzy stopnie wtajemniczenia: Przez obecność na naradzie w Komitecie Wojewódzkim partii działaczy kulturalno-oświatowych i mecenasów zakładających i finansujących kluby i kawiarnie — później drogą rozmów i kontaktów z członkami Komisji Koordynacyjnej klubowczytelni w jednym z powiatów i wreszcie przez odwiedziny w kilku wiejskich klubach w tymże powiecie.

Narada w KW PZPR miała charakter roboczy i może właśnie dlatego była dla dziennikarza rzetelnym i bogatym źródłem wiedzy w zakresie ruchu klubowego. Mówiono tam o nowych, dobrych i atrakcyjnych formach działalności, które

przyjęły się w niektórych placówkach, mówiono o klubach martwych, w których oprócz działalności handlowej żadna inna nie istnieje; także o materialnej bazie klubów i o szkoleniu kadr na gospodarzy klubów. Przede wszystkim jednak konstruktywnie i rzeczowo dyskutowano nad tym, jak należy w pełni wykorzystać wszystkie możliwości, które daje istnienie ponad 300 klubów „Ruchu” i 120 klubów-kawiarni GS w naszym województwie. Niektóre przykłady budziły optymizm. W Kłęczanach, w pow. ropczyckim, grupa miejscowych chłopów inspirowana przez kierownika szkoły pracowała społecznie przez kilka tygodni, by zrujnowany budynek wyremontować i umożliwić otwarcie klubu. Przed samą uroczystością otwarcia przez 48 godzin prawie n'e wychodzili z budynku, by zdążyć z remontem. W Zarzeczcu młodzież, mimo bierności a nawet sprzeciwu starszych odrestaurowała nakładem dużego wysiłku lokalną klub i obecnie dzięki tej inicjatywie jest to najlepsza placówka tego typu w powiecie rzeszowskim. Pracuje tam orkiestra ludowa, zajmująca się upowszechnianiem folkloru rzeszowskiego — istnieje kurs języka angielskiego, na wieczorkach muzycznych śpiewa się satyryczne piosenki o życiu gromady. W innych klubach istnieją zespoły zbiorowego czytania literatury pięknej, zespoły miłośników telewizji, zespoły plastyczne, czyli sporo nowych, interesujących form samokształcenia i rozrywki. Nie należy jednak sądzić, że wszędzie jest aż tak dobrze. W wielu miejscowościach nie widać żadnego wkładu pracy środowiska, żadnej inicjatywy, żadnych prób celowego wykorzystania dla pracy k.o. bazy, jaką jest klub czy kawiarnia. I młodzież, i dorośli czekają aż wszystko zrobi ktoś inny, z zewnątrz.

Nawet troszczyć się o czystość w klubie nie ma kto. Często mieszkańcy bezmyślnie niszczą drogie meble zakupione przez „Ruch”; wiążą w zabłoconych butach na fotele lub tną ich obicia. To powinno być przestroją dla organizatorów placówek przed żywiołowością działania, bez dokładnego zbadania nastrojów i rzeczywistych potrzeb kulturalnych wsi. W tych miejscowościach nie widać żadnego wkładu pracy środowiska, żadnej inicjatywy, żadnych prób celowego wykorzystania dla pracy k.o. bazy, jaką jest klub czy kawiarnia. I młodzież, i dorośli czekają aż wszystko zrobi ktoś inny, z zewnątrz. Nawet troszczyć się o czystość w klubie nie ma kto. Często mieszkańcy bezmyślnie niszczą drogie meble zakupione przez „Ruch”; wiążą w zabłoconych butach na fotele lub tną ich obicia. To powinno być przestroją dla organizatorów placówek przed żywiołowością działania, bez dokładnego zbadania nastrojów i rzeczywistych potrzeb kulturalnych wsi. W tych miejscowościach nie widać żadnego wkładu pracy środowiska, żadnej inicjatywy, żadnych prób celowego wykorzystania dla pracy k.o. bazy, jaką jest klub czy kawiarnia. I młodzież, i dorośli czekają aż wszystko zrobi ktoś inny, z zewnątrz.

(Ciąg dalszy na str. 2)

